

SZKICE
z PUSZCZY Białowieskiej

Antoni Kamiński

SZKICE Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

14 KARTONÓW

ANTONIEGO KAMIŃSKIEGO

TEKST

ZYGMUNTA BARTKIEWICZA



WARSZAWA

NAKLADEM TOWARZYSTWA AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”

1912

K-75/71

~~7659~~



19698

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 8 0 7 6 5

ZYGM. BARTKIEWICZ.

W PUSZCZY.



Znacie, gdy przed wami, na wózku—półdrabku, głęboko wparta w siedzenie bura świta—latucha, na szerokich krzyżach Wasilka, tu i owdzie rozpekła, nad nią rozkiwana czapa barania stożysta, dalej krąg malowany nad chomątem zgięty, i w takt końskiego kroku, kołyszący się, kłapouchy łeb gniady.

I szeroki, jasny, prawie do białą, rozprażony gościniec przed wami, w świetliste, upalne, przestrzenie, beznadziejnie daleko się wije, a w nim leśne wyboiska, krętą koleją przecięte.

Koń biegnie jej śladem, tłucze wózek za sobą, a raz, poraz szczęką zęby:

— Ach, kab tobie walk zajął... Ach ty!..

Łeb zakotysze się raźniej, sporzej, pod batem, uderzą kopyta, lecz po chwili znów wraca znękané konisko do zwykłego umiaru, wlecze w trudzie i znoju, przez kręte koleje, rozpląsany, turkotliwy półdrabek...

A bokami puszcza. Ciemna i chłodna, wyniosła się zwarto, wysoko. Nad jasnym pasem drogi, gdzieniegdzie przerzuciła sklepienie, a dalej, przez jakąś przemoc, wyżartą polana.

Ściana ponurych jodeł, pierścieniem, ją grodzi i, ani okiem przeniknąć, co blizkie, ani myślą dalekich kresów dosięgnąć, gdyż na zapytanie, jaką przestrzeń puszcza zajmuje, wnet Wasilek wypali, z młodzieńczym zapalem, urągającym wszelkiej ścisłości:

— A chto-ż jeju znaje? Dwadcat' tyśiąc werst, każut...—śmignie batem po koniu i już inną myślą zajęty.

— A u was, u Warszawie, duży, tam, domy?

— Duże domy w Warszawie.

— A ludi, tam, dobry?

Dziwne pytanie, gdy tak cicho i błogo wśród ciemnych borów, a myśl zdala od miasta niezmaconą radość przeżywa. I tak od zastanowienia daleka, jacy są ludzie, dobrzy czy źli, a jakże blizka, że szczęście tam tylko, gdzie własna dusza wystarczy. I serce—jedno—jej serce.

Lecz tak się wydaje, że milej tu patrzeć na świat, gdzie stare drzewa tkliwiej i mądrzej uczą życia, kochania, niż nowe szkoły, gdzie buja w pełni życia i wdzięku zwierz silny a nienapastliwy, gdzie nie zabija syty, a nie ginie nikt z głodu. I gdzie niema pokuty, bo niema grzechu, i gdzie nie nazywa się—miłość.

A ludzie...

— Wiedamo co dobry... — odpowiada sam sobie Wasilek i, z westchnieniem, po chwili.

— Kto bogaty, tak i dobry. Ta i po cóż jemu być złym? A bez hroszy, nikoli, nijakoj dobroty, czy u Warszawie, czy, tutki.

I, rad sposobności, poczyna snuć, śpiewnie, długą opowieść, jak to biednemu człowiekowi, na świecie, jest źle. Ani o tem

wiedział, rok temu, ani się spodziewał, jaka to „horka nasza biadota“.

— Jak warona był durny.

Aż przyjechali pany z Warszawy.

— A rozum-że u nich,—o—ho!

I usadził się mocno, czapy poprawił, śmignął batem po gniadym. Wartko wózek się toczy, wartko myśl snuje pociechę:

— I nie spodziawausia! Zahlanie sonce i u nasze okonce... Usio bude porówno...—powiadali pany.

— Kaby tolko dożyć., kaby dożyć... Kab swoju ziemiaku orać!

Trzęsie koń łbem hakowatym pod duhą, biegnie koleją, przez mękę twardej, szkapiej doli rzeźbioną, a biały, syпки gościniec przed nim kołuje, zwija się, kręci, ucieka. To w ciemną puszcę zapada, sklepionym manowcem biegnie przez mroki i chłód, i zda się, że blisko już kresu dosięga, aliści w słoneczne żary wybiega, rozwija się wstęgą. Koń zwalnia kroku i chrapie znużony, a nad nim, klnie człowiek.

Aż znów puszcza, cichym poszmerem, żywiącym oddechem, jak dobrem słowem przywita, w otwarte, wiekowe wierzeje zaprasza gościnnie, a grab pokrzywiony, rudawy, brodaty, ku drodze się chyli, staruszek—burgrabia, sto lat już wygląda, kto jedzie.

— I cóż, tam, wiezicie ze świata jasnego, ze świata smutnego, w nasze mroki szczęśliwe?

— Jadą goście z Warszawy, jadą k panu pristawu przedstawić paszporty, zaczem przyjdą się tobie, stara litewska puszczo, prawomyślnie, w nogi, pokłonić. Z tobą o Jagiellowych czasach, o dawnych królewskich budnikach pomarzyć i to ci rzec wkońcu, że wszystko to głupstwo bezduszne, co — było.

Bo nowy człowiek mocne kocha wyrazy, a choć słabe ma ręce, zawsze burzyć

ochotne, na co tysiące rozumów, serc tkliwych tysiące składało się, przez wieki.

Z jakąż to lubością, gdyby tylko wole mu dać, topora by się jął, pień w pień dawne knieje wyrąbał, wydarł resztki i spalił, a na żyzne, wypoczęte rozłogi rzucił świeże, wczorajsze posiewy. I z dumą świata ogłosił, że za jego to sprawą, na miejscu, gdzie odwieczna, dzika puszcza szumiała, urodził się—owies.

— Owies, jak las!

Ileż to w Polsce, a w latach ostatnich, padło takich posiewów. Cieniów chat podleśnych dosięgły, legły na dusze jasne, od wieków,urocząrzewnością wezbrane, rozmodlone, śpiewne, a przyjdzie chwila, szumne jak bór.

I oto stała się cisza. Zadumausia ciomny syn lesu.

Ale, przed figurą już czapki nie chyli, bo smijut-sia pany, że drzewom się kłania, a gdy pieśń pocznie, co niepokój myśli, w dawnych światach, dawnych tęsknotach rozproszy, opamięta się wnet, z miejska, grzecznie ukloni, z przykrym, nieszczerym uśmiechem i, czeka.

— A co?

— Ta, panie—na piwo.

— Za cóż na piwo?

— Ta...—za pieśniu, panie.

I w głosie jeszcze śpiewna uległość, lecz w oczach, co myśli bliższe, już biega niepokój. Jak w młodym wilku, co krew czuje w człowieku, a niech tylko cię draśnie, wnet skoczy do gardła.

Bo są dusze człowiecze, co tylko w zapomnieniu żyją bujne, szczęśliwe,—z chwilą, gdy je ludzka opieka otoczy, marnieją. Jak dzikie kwiaty.

Więc, głębiej, w puszcę, w jej wiekowe mroki, gdzie zrzadka tylko przedzierają się blaski słoneczne, a światło ludzkich rozumów nie sięga, gdzie uczy tylko przyroda,

mądra, surowa, a podczas, tkliwa, tuląca, jak matka.

Gdzie pieśń, baśnie i dawne podania, a człowiek zasluchany w przeszłość, szczęśliwy i nie straszne mu jutro, bo jutro jest w nim, i jeden lęk tylko to piorun, a groza to Bóg.

Tam zgrzebna świta, łojem smarowana koszula, lyczane chodaki na nogach, w rękę jałowcowy kij, ot i „majontak“, zaś ciche pogwizdywanie na ustach, niby ptaka śpiew.

A gdy współczujący szarej doli zapyta:

— Szczę, Petruk, dobroho?

Zawsze jedna, pogodna odpowiedź:

— Ta,—niczawo, pane. Usio, u nas, dobre.

I w twarz patrzy siwemi oczami, pytając, życzliwie. Może na co przydać się zdoła? Gotów zawsze oddać i łapcie i kij, bo skoro o coś prosi człowiek. znaczy, że mu to potrzebniejsze więcej, niż temu, — co ma.

A gdy zapytać Petruka o drogę, zawsze o wiele jest bliższą, niż jest nią istotnie, i zawsze zabroniona droga dla niego jest miłszą, choćby i trudniejsza i dalsza. Z duszą jego nie godzi się zakaz, nie przez upór i złość. lecz poprostu dlatego, że dobry Bóg stworzył drogę przecie, dla ludzi, dla wszystkich.

Toć i polować w puszczy, powiadają, niewolno; a któż to stworzył człowieka, kazał mu żyć—więc jakże?

— Ale, przecie las jest rządowy.

— Ta nic, co on taki.

I żadnych, zgoła, nie znajduje Petruk trudności w godzeniu Boskich zarządzeń z karnym kodeksem Dźwiga luby ciężar pod świtą: dwie lufy strzelbiny, podczepione na sznurku, zaś kolba w zanadrzu. I dobrze, powiada, że jest straż leśna, bo i „Moskali“ także lud Boży,—też musi żyć.

Dziwno mu tylko, co za przyjemność

mają, w polowaniu, pany. Przecie żaden, nawet korol, nie zna co to na rykowisku, w noc czarną, byka podchodzić, a potem przez puszcę go wlec. Czuje człowiek wtedy, że serce jest w nim.

Zwolna, w mózg, wsiąka filozofia Petruka. Myśl ku zakazanej drodze się zwraca, a za nią wózek. I, doprawdy, raz jeszcze życie poucza, że do radości i prawdy częściej wiedzy zakazana drożyna, niż uświęcone legalnością trakty.

Przez chłodną, mocną zieleń dębową, przetykaną brzożami, o zamierającym, bładem listowiu, kędy wiją się bluszcze, przez ciemną gęstwę, litą zrzadka złotoblaskiem jesieni, rozplonioną w szkarłacie, biegnie kręty szlak leśny.

A głębiej już serce zamiera w cichości mrocznej, posępnej świątnicy, gdzie niemalowany Bóg. I gdzie, nie człowiek,—zimny budownik związał jądźwingowe sosny w prągotyckie sklepienie, ponad cmentarzyskiem zwalonych wieków. Zaklętych w klody zbutwiałego próchna, okryte szmaragdowym, mieniących barw aksamitem, niby dawnych kolatorów,—panów polskich groby.

W młodzieńczych pędach tryska z nich nowe życie, moc czerpie z żywej przeszłości, marzy o słońcu.

Zastygłe, w martwocie zimne oczy leśnych krynic patrzą. Bliźniacze olchy nad nimi się splotły—w chorowodzie bogunki, a tam już i zapadliska, wykroty, jakby tajemne przechody, pod korzeniami wyżarte, skąd zdają się świecić złe oczy, i kędy się już łamie drożyna, jakby trwożliwie omija, czy błądzi, nagle w ciemne haszcze szerzej zapada i—ginie.

Lecz przedziera się człowiek. Ciekawą miłością wiedziony. Aż do bólu, przez cieranie, przez zwaly i w leśne groby zapada, skąd czarne, wielkie ptaki, z łoskotem się

wznoszą, a przez myśl, jakby dreszcz śmierci przebiega. I dalej i głębiej w mroki posępne, aż serca puszczy dosięgnie i osuwa się, nagle, w znużeniu, osłabły, czarów bajki wyśnionej nie widzi, bezpamiętny i z sercem bijącym, jak w chwili, gdy drogie usta całuje.

A gdy mgnienie uroku przeleci, gdy obudzi się myśl i zapagnie marzeń, z otwartymi oczami, jakby ręce kochane głowę otoczą, miękko każdą troskę wygładzą, uciszą słowa na ustach, aż przyjdzie spokój i zwolna a lubo, z przedzy wrażeń przeżytych, snuć się poczną obrazy.

W leśnej kaplicy ksiądz biskup mszę świętą, przed królewskimi łowami, odprawia. Woskowe świeczki żółtawym blaskiem pełgają po kudłach głów pochylonych, zrzadka na ostrzach rohatyn zawisną, zrzadka klejnot na piersi królewskiej zabłyśnie, albo panów guz złoty.

I nie w ciszy, lecz w bujnym pogwarze brzmia niepojęte wyrazy księdza biskupa, co właśnie, nad tłumem, z błogosławieństwem, wznosił ręce.

Bury, pręgowany, dziki jak jego barwa, jagiellowy tłum osaczników objezdnych, stannowicznych i psiarzy, zakolysał się, westchnął, rozjęknął, jakby wichur zakotłował w kaplicy. A na smyczach, ze skowytem, targnęły się psy,—tegi parob śmignął nahajem, zaś obok zerwało się rzesiste przekleństwo i ścichło w pół słowie, silną pięścią zbożnego sąsiada przymknięte na ustach.

I jeszcze chwila, pan miłościwy ukończył pacierze, wnet—*Ite missa est*.—mocą mocą spiżu rozdzwiękło. Szerokim, rycerskim krokiem ksiądz biskup od ołtarza ruszył, cisnął ornat i albę na ręce pacholka, ów podał mu oszczep i już huczna ciżba, szczękająca żelazem, w falujących kłębach psów, ludzi,

trzepocących ptaków na wysokich berłach wyparła z kaplicy, we mgły leśnej polany. Jakby garścią kto cisnął, rozsypały się chyby, biegnące cienie.

I już, we dwóch, wiodą pół powietrzem, pół ziemią, płową, ciemno znaczoną bestyję, w królewskiej purpurze—kąśliwego źrebca. Już pan miłościwy, lekką stopą, szerokiego dotknął strzemia i silnem osadzeniem wparł w ziemię dryganta, a wnet, na polanie, mocny, radosny dźwięk rogu się ozwał, w knieję uderzył, na tysiąc rozbił odgłosów.

Ruszyli, w zawód, hyżołotni gońce, a każdy z nich niósł obwołanie w puszczy:

— Czuj duch! Pan miłościwy już rozpoczął łowy.

W czarnem legowisku, pod kłodami zwalonych olch, ocknął się zwierz ciemny, brunatny, podniósł łeb skudłony, brodaty, westchnął rzeźwiące chłody wczesnego świtania, na kolana leniwie się dźwignął, zaczem wstał mocno. Nagle powiódł niespokojnie kosmatymi uszami i zwrócił je, skąd biegły zabłąkane dźwięki.

Wparł chrapy w ziemię i dychał, raciami darł, aż pół łba zanurzył, jakby nasłuchiwał, co tam spodem głos niesie, nagle cisnął olbrzymim kadłubem, ogon sprężył kolisto i z trzaskiem łamanych gałęzi, drąc czarne bryły, z pod siebie, runął przez zwały.

A tuż, jak dzwoneczek, odezwał się głos. I ustał i, chwila. a przybrał na mocy. A tuż i drugi, jakby z nim mgnienie się zmagął i rwał się, nie wiedział,—nagle zlewnym jazgotem się zaniósł, jakby radość i żal i ból.

I trzeci daleki, a obcy, we dwa dźwięki się wplócił, nawoływał zbłąkany:—ho, ho!—ho, ho!

Tupnął krasny jelen, w bór prysnął. Nag-

le zaparł się w ziemię, zwinął na zadzie, tam gdzie zasiłek, konarami zjeżony obrócił, i przygięły się pod nim, w skoku, kolana, i tylko trzask poszedł po lesie, a het, na pagórze, biała tarcza błysnęła, zapadła.

I, wraz, cała zgraja uderzyła w dzwonki i fletnie; gna przez puszcę muzyka, dygocząca, pragnieniem wezbrana, a w kniei, od końca do końca, strach siada na karki, pogania, okrutny, bezlitosny strach.

Aż rozsłumi się puszcza, głosami rozjęknie, rozkołysze w tentencie i zgiełku, porwie z sobą gończą muzykę, na śmiertelne gody.

Nagle górną pobudką rozległ się bór. Dumnie, radośnie wzbił się głos rogów i poniósł rozlewnie, szeroko, przez puszcę.

— Niedźwiedzia,—król ubił.

Wnet, na chrapiących koniach jeźdźcy przypadli, kędy na żywej, jasnej zieleni, z rozrzuconemi łapami, bury rozplaszczony trup leży. Ciemną strugą posoka się wije, z pod niego, przez borówki, czernice, przez mchy.

A tuż, człowiek niewielki, bezwąsy, w tububie, spiętym kłamrą szeroką, w rudych skórzniach juchtowych, na nogach, krzepko rozpartych, ledwo co rohatyne, z drgającego cielska wytargnął,—sam pan miłościwy.

A tuż, wiankiem, legły psiska ziejące, osłabłe, moregowate pokurcze, z okrwawionemi faflami, od oszczepiska, którem rozwierano, w zaciekleń wżarcu, zmartwiałe paszcze. Zaś, przetrącony łapą niedźwiedzią, krzyż włóczy, a drugi skamle żałośnie, — snadź, także, nie bez szkody, na zdrowiu.

A tuż, i psiarze łyskają, w uśmiechu, ostremi zębami, że to ich pańska nagroda nie minie, a pobok, rozgrzana, dysząca jasna kniaziówna, rozwartemi nozdrzami zapach krwi chłonie, i strojni śmiejący dworzanie, i pany w łańcuchach, w sobolach, i olbrzym chłop kołtuniasty, z trójgrotom, rękodajny pana

towarzysz, a dalej, szara ciżba, smrodem skór źle wyprawionych ziejąca, wrzawliwa, zaciekla, wśród rozpalonych gońbą ogierów, sięgających ku sobie zębami.

Wnet jednak cisza. Na królewskie skienienie, człek sprawny, z konia się zwinął, do niedźwiedzia przypadł. a gdy odwrócili ludzie cielsko ważne, bezwładne, siadł, okracz, na brzuchu i pruł. Zaś rękawy kurty zwinął, po ramiona ręce zanurzył, w kłębach sinych, białych jelit, serca szukając. Aż znalazł i udarł, i bluznęła jucha jeszcze nie skrzepla, mdły, słodki, luby odór, parą, się wzniósł.

Zakłapały psie pyski, u ciepłej odprawy, uśmiechnął się, rad, pan miłościwy, a wraz zahuczwała pieśń i zwały się w jednej, wszystkiemi mocami życia, tętniącej radości, głosy ciurów i panów, wzbiły, w jedynej chwale i czci dla odwagi i siły.

Cicha tylko jasna kniaziówna. Rozgorzała, dysząca, bujną, prężną, piersią naległa na twarde bary królewskiego dworzana, zapaloną widokiem krwi mękę przeżywa.

A gdy, szeptem zadrgały jej usta, on pochylił się ku niej: na mózg pożądaniem wezbrany, padło słowo — — dziś...

I nagle, przed wpatrzonemi chciwie w przeszłość oczami, rozwija się barwna wstęga kolas białozłocistych, ukwieconych strojnymi damami rydwanów, sutych haftem, pysznodumnych kawalerów.

W jesiennych blaskach, migotliwie lśniaca, wije się wstęga, wplata w dostojną purpurę, jaką od wieków przyobleka puszcza, na królewskie łowy.

Jakby, pod tchnieniem powiewów, mocne barwy zlekka się chwieją, kołyszą, a bliżej już błyszczą srebrem białe peruki, jak motyle, zwiewne, maleńkie, skrzydlaste kor-nety, gdzieniegdzie, w blaskach, płonie czer-

wienią kołpaczek. i wdzięcznie się chylą pudrowane szyniony. Olbrzymy misternie z włosów utkane, barwistemi wstęgami przejęte, a pod niemi, z kunsztownego ciężkiej robry wycięcia, główki, liljową bledością wykwitłe, maleńkie, śmiejące. I oczy, niezmiennem zdziwieniem rozwarte szeroko.

A z barwy i blasków gwar, chichot zduszony, wstydlivy, kłamiący i raz, poraz krzyk trwogi, gdy ciężka kolasa, przodkiem niziutkim, utknie w wyboisku, lub na zboczu pochyli.

Wnet rojem motylim przypadną gaszkowie, i wnet ku nim dłońki pieszczone błagalnie się wzniosą, zaś oni ratują, wspierają, sadowią, a wraz ręka panicza, po trzewczkach bławatnych oślizgnie, wraz usta, ramiona lejlowe omusną... z nałogu, a pani, na jagody krew spłynie, bo — taki obyczaj.

Zaś, przodem, za szóstką magdeburgów pysznopiórych, frędzlistych, w sutej złotem, karmazynowej kolebie, przewalającej się w piachu leniwie, wparty w miękkie poduszki drzemie król polski — marzy po niemiecku...

Nie z łaski Bożej, nie z woli narodu, lecz z nakazu wroga — August Frederyk.

Poszumuje, z cicha, czarny, zadumany bór.

Aż, po raz ostatni, dla *ostatniego* z królów, przyoblekła się puszcza.

Lecz nie zdołała w purpurę, jeno w barwy pobladle, śmiertelne.

I witały pana smutne, żółtoliste brzozy.

I dygocąca, szelestem umarłych listków, osika.

I olchy, jakby krwią skrzepłą splamione.

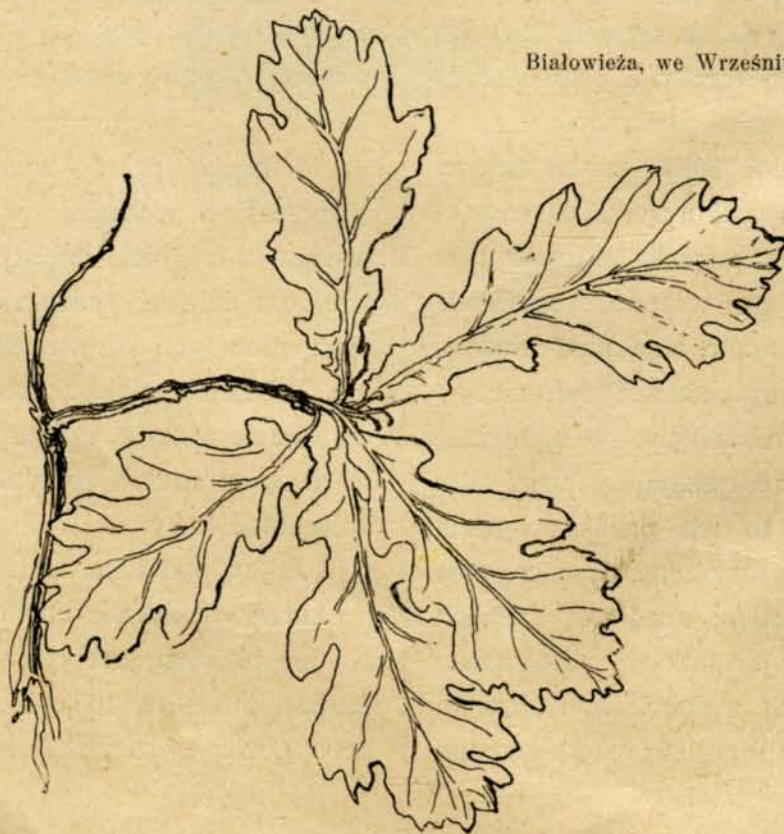
Lśniący blaskiem klejnotów, w rozwianiu mgławych koronek, w jagiellowej puszczy smutny, udręczony król.

Tkliwy kochanek miłujący piękno, szczodry i świetny, dziś w mrokach myśli, pod grozą niewoli, — najjaśniejszy pan.

Chylą, nad nim, brzożki litośnie ramiona, szepcze pacierz osika.

Schodzą smutki na myśl, nowe dzieje się snują...

Białowieża, we Wrześniu, 1911 r.





A. Kamiński

A. KAMIŃSKI.
Sakice z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. B. Orgelbranda S. ów



A. KAMIŃSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Art. S. Orgelbranda S-ów.

WIEŚ BUDY.



A. KAMIENSKI.
Szkiełce w puszczy Białowiejskiej.

Wydawnictwo "ŚWIATA"
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

SZALAS DRWALI.



A. KAMIENSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.



A. KAMIENSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

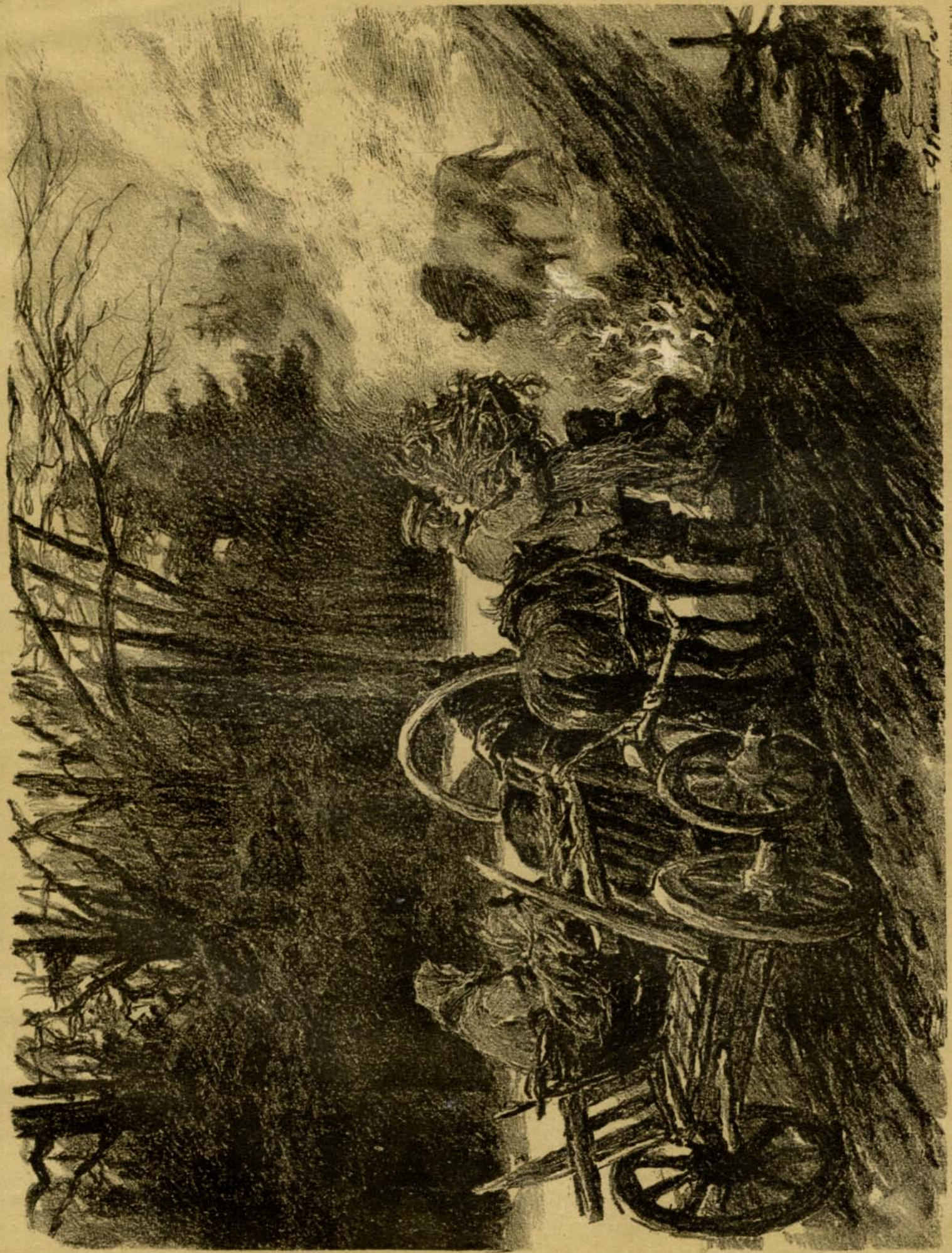
Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

DROGA Z BIELSKA DO BIAŁOWIEŻY.



A. KAMIŃSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

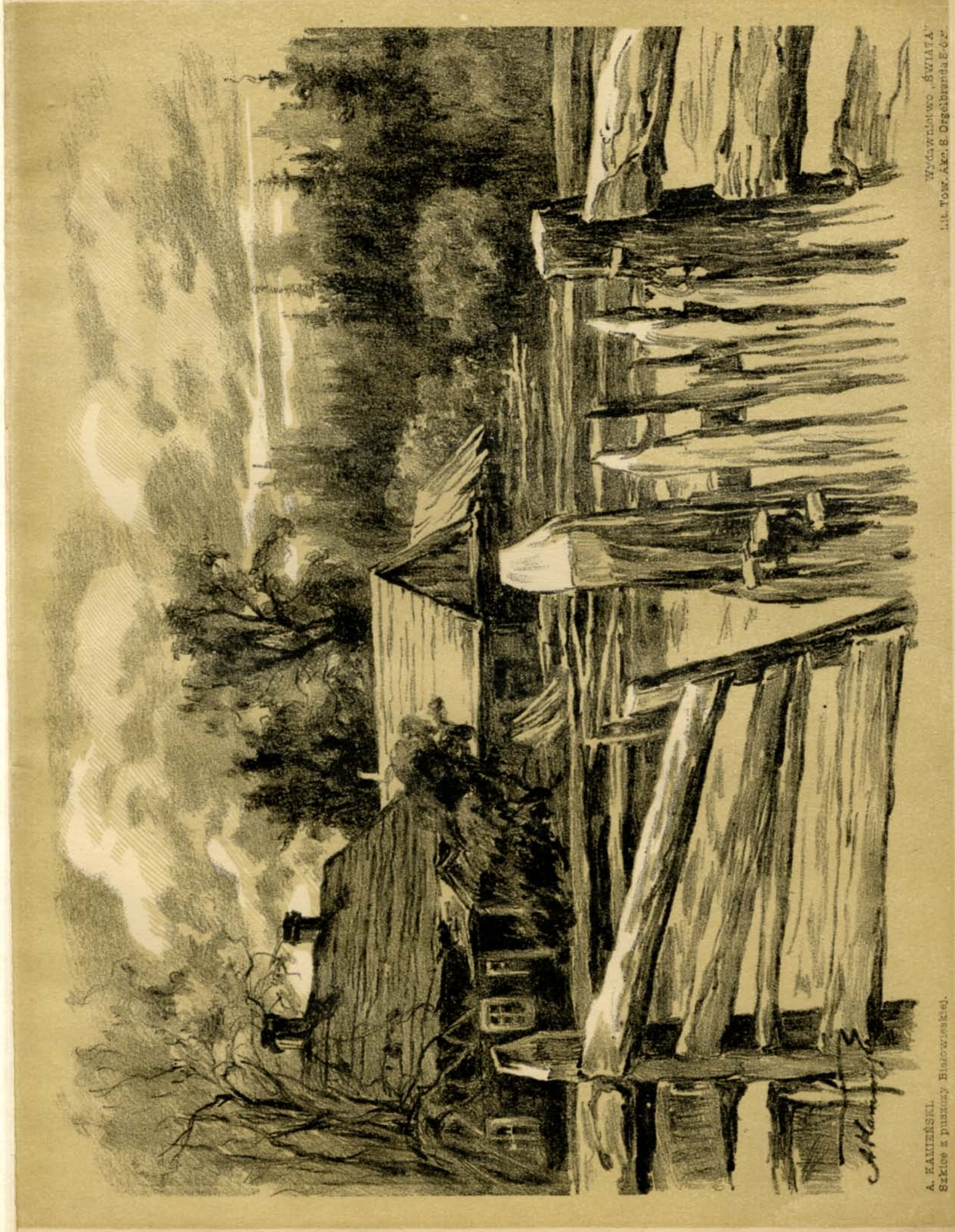
Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbrands S-ów



A. KAMIŃSKI.
Szkieł x Puszczy Białowieskiej.

SPOTKANIE W DRODZE

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ców.



Wydawnictwo „ŚWIATA”
ul. Tow. Akc. S. Orgelbronda 8-67.

WIEŚ BUDY. (ZAGRODĄ.)

A. KAMIŃSKI
Szkice z pustoty Białowieskiej.

A. Kamiński



Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

A. KAMIŃSKI.
S. Kłosa z puszczy Białowieskiej.

Kamiński

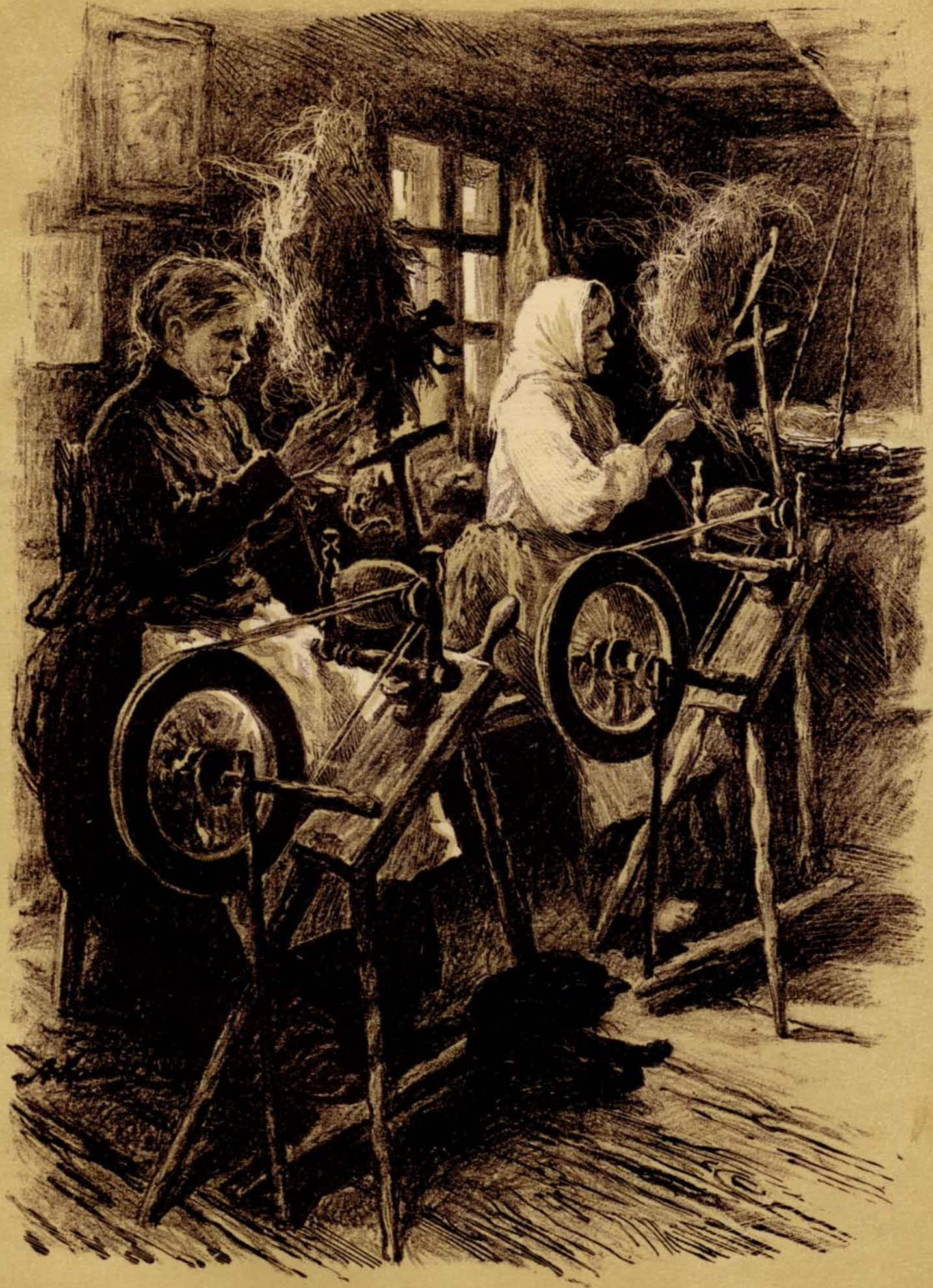
„PODWODA”.



Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

A. KAMIENSKI.
Szkice z puzerzy Białowieskiej.

ŻUBRY.



A. KAMIENSKI.
Szklce z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo "SWIATA"
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.



A. KAMIEŃSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

LITWIN I BIAŁORUSIN.



A. KAMIŃSKI.
Szkice z puszczy Białowieżskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

BIAŁOWIEŻANECZKA.



A. KAMIŃSKI.
Szkice z puszczy Białowieskiej.

Wydawnictwo „ŚWIATA”
Lit. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.